GAZETA KOŚCIELNA

Przedpłata:
W Galicyi: roczna . 5 zł. 50 ct.
półroczna 3 „ — „
kwartalna 1 „ 60 „
za granicą: do Niemiec 11 mar.
do Francyi, Włoch, Turcyi 14 fran.
do Ameryki . . . . 3 dolr.

PISMO POŚWIĘCONE SPRAWOM KOŚCIELNYM I SPOŁECZNYM
ORGAN DUCHOWIEŃSTWA.
Wychodzi co czwartku.

Redakcya, Administracya i Expedycya plac Kapitulny l. 7 II. piętro.
Inseraty przyjmuje się za opłatą 10 ct. od wiersza petitu.
Rękopisów przyjętych do druku Redakcya nie zwraca.

Rok II. We Lwowie dnia 22. listopada 1894. Nr. 47.

Listy z Wiednia.

XI.

Wiedeń, 19. października.

„Za śmiałymi swe koła zwykło szczęście toczyć“, mówi piewca „Wojny chocimskiej“, Wacław z Potoka Potocki, a chociaż przysłowie twierdzi, że śmiałków psy gryzą, to jednak pewną jest rzeczą, iż w politycznem życiu bezczynność równa się powolnej śmierci. Ruchliwe, rzutkie i dużo hałasu robiące stronnictwo chrześciańsko-socyalne tem też głównie urosło, że nie zakładając rąk, wciąż zwołuje zebrania, nawet na prowincyą wysyła swoich agitatorów i z każdej sposobności korzysta, aby znaki życia dawać. Może w tem nieco naśladuje socyalistów: ale że i od nieprzyjaciół uczyć się należy, przyznał to głośno komisarz wieców katolickich hr. Sylva-Tarouca, który rzucił myśl organizacyi katolickiej na wzór organizacyi socyalistycznej, przemawiając na wiecu katolickim, o którym dzisiaj mam zamiar pisać.

Ten wiec ma swoje dzieje i to nie bardzo wesołe. Przyszedł bowiem do skutku na przekor wielu niechętnym, ale udał się wyśmienicie. Wiadomo bowiem, że wszystkie miasta, do których się komisarz wiecowy udawał, aby przyjęły trzeci wiec jeneralny katolicki, odmówiły gościny. Za powód podawały to, że wobec koalicyi wiec mógłby się stać niewygodnym, niemiłym i t. d. Innemi słowy: katolicy schowali chorągiew do kieszeni, aby nie drażnić panów liberałów, którzy do rydwanu rządowego się dostali, sami nie wiedząc, jak się to zrobiło. To wszystko więc, com pisał w poprzednich listach moich o sukni Dejaniry i łożu Prokrusta, sprawdziło się dosłownie.

W ten sposób sprawy katolickie, usunięte wobec koalicyi z parlamentarnego stołu, ad calendas graecas, nigdy nie byłyby się doczekały światła dziennego, czyli innemi słowy, katolicy cofnęli się znowu na całej linii byle tylko nie mącić pokoju, niestety cmentarnego. Nie dziw, że gdy chrześciańsko-socyalne stronnictwo zapowiedziało wiec katolicki, padł strach na wszystkich, którzy chorują na dawną chorobę „Beschwichtigungsrathów“. Wiec ten nie mógł jednak być ogólnym czyli jeneralnym wiecem katolickim, więc nazwano go pierwszym dolno-austryackim.

Czy się uda? To było pierwsze pytanie. Ale że stronnictwo ruchliwe rąk nie oszczędzało, więc musiał przyjść do skutku. Teraz powstawało dalsze pytanie: czy iść, czy nie iść? Czy będą biskupi, czy nie będą? Wreszcie większość posłów z klubu Hohenwarta poszła, byli biskupi, nuncyusz, nawet kardynał wiedeński Gruscha, przeto wiec udał się świetnie.

Z jakiemi trudnościami musieli walczyć ci, którzy wiec urządzali, najlepiej wnosić można stąd, że nawet marszałka dla wiecu znaleść nie mogli; dopiero wiceprezes komitetu ks. dr. Schindler, prof. teologii moralnej na wiedeńskiej wszechnicy, ratując sytuacyą, zaproponował prezesa komitetu barona Vittinghof-Schell'a, na co oczywiście zgromadzenie się zgodziło hucznymi oklaskami. Jak zaś sami pragnęli na tym wiecu trzymać się ściśle granic, nakreślonych ostrożnością, najlepszy znowu dowód w tem, że wszyscy mowcy czytali swoje mowy i że jeden tylko mówił z pamięci, a to ostatni — *last not least* — kardynał Gruscha.

Wiec odbywał się w tej samej sali, w której obradował drugi wiec katolicki przed 6 laty. Olbrzymia sala, loże, galerye, wszystko po brzegi zapełniła publiczność, chociaż w lożach nie był reprezentowany wielki świat arystokratyczny — *high life* katolicki, — jak to było na jeneralnym wiecu. Na olbrzymiej estradzie nie było też kilkunastu biskupów, tylko był nuncyusz, arcyb. Agliardi i polowy biskup dr. Belopotoczky. Za to opatów, prałatów, kanoników i posłów stawiło się mnogo. A ponieważ to był wiec specyalnie wiedeński, więc ulubieniec Wiednia, Strauss, zajął na pierwszem zebraniu całą godzinę produkcyami orkiestry z organami. Oczywiście „Król walca“ nie produkował się ze swoją światu znaną specyalnością, tylko wykonywał utwory poważne; między nimi żałobny marsz naszego Chopina, orkiestrowany przez Straussa, z towarzyszeniem organów, nieopisane sprawił wrażenie.

Muzyka nastraja umysły poważnie a rozbraja serca. Publiczność tedy wiedeńska, tak bardzo muzykalna, rozgrzała się do najwyższego stopnia, a oklaskom nie było końca.

Czasami nie było nawet za co klaskać. Tak n. p. jeden z trzech mowców, który imieniem gości głos zabierali, poseł do parlamentu i proboszcz z Morawy ks. Weber, wstąpił na mownicę w kusym, wyszarzanym żakiecie, nawet twarzy nie ogoliwszy; niewiele do rzeczy powiedział, zapewniał tylko, że wiernie posłuje od lat wielu, a przecie zyskał huczne oklaski. Trochę ta „nonchalance“ musiała razić, z jaką publicznie na estradzie wystąpił, bo chociaż żaden ksiądz świecki nie miał sutanny na sobie i nie stanowili wyjątku nawet ci, którzy do bióra prezydyalnego byli powołani, to jednak *est modus in rebus*.

Jako pierwszy mowca ze strony komitetu wystąpił dr. Lueger, który dzisiaj niewątpliwie jest najpopularniejszą osobą we Wiedniu. Pokazał to świeżo obchód jego 50-letnich urodzin. Na nabożeństwo do *Votiv-Kirche* zeszły się takie tłumy, jakich ten kościół nie pamięta, a pochód po mieście na jego cześć urządzony liczył na sta tysięcy. Takiej manifestacyi nawet socyaliści nie potrafili jeszcze urządzić.

Ale i Lueger czytał z karty, chociaż miał tylko krótkie powitanie zebranych. Widocznie jemu także aprobował komitet treść przemówienia. Było krótkie lecz dosadne, a gdy zakończył katolickiem pozdrowieniem: Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! wtedy frenetyczne oklaski przeciągały się w nieskończoność.

Palmę tego wieczoru odniósł dyrektor tutejszych Redemptorystów O. Freund, który mówił o szkole. Kaznodzieja wytrawny, mający prześliczny, głęboki a donośny baryton, mówił rzeczy znane, ale podane we formie jasnej, zrozumiałej, stylem ciętym i językiem ostrym. Takie mowy muszą zapalać tysiące, to też jego mowa porwała słuchaczy.

Książę Lichtenstein, który prawił o państwie i kwestyi socyalnej, miał dzień mniej szczęśliwy. Może i temat niewdzięczny do tego się przyczynił, a może i to, że czytać musiał. Książęcy mowca ma sarkazm delikatny jak ostrze brzytwy; to też gdy o liberałach mówił, o babskiem lecie, które im na starość, przed śmiercią, koalicya zgotowała; — o małoważnych kwestyach, nad któremi koalicya głowy sobie łamie, a które przyrównał do pajęczyny, ciągnącej się po pustem ściernisku: wywoływał huczną wesołość pomiędzy wiecownikami. Ale kto pamięta inne jego mowy, mianowicie mistrzowski wykład na drugim wiecu katolickim, ten musiał mimowoli przypuszczać, że książę nie był w humorze.

Drugi dzień wiecu rozpoczął się od nabożeństwa w katedrze, zeszedł na naradach w sekcyach, a zakończył się wieczornem uroczystem zebraniem. Było ono jeszcze uroczystsze niż pierwsze, bo dodała mu blasku obecność kardynała i biskupa św. Hipolita (St. Polten) tak, że razem było czterech książąt kościoła. Kapituła wiedeńskiej katedry wystąpiła zaś na estradzie w łańcuchach, a co najważniejsza, tło stanowili studenci katolickich stowarzyszeń „im Wichs“ t. j. w uroczystych strojach z chorągwiami.

Główni dwaj mowcy tego wieczoru byli dr. Pattai, adwokat i poseł do parlamentu, tudzież uczony apologeta O. Weiss z Gracu. Pierwszy czytał na temat: konserwatyzm i katolicyzm — ale właśnie dlatego że czytał, opracował rzecz zbyt uczenie jak na wiec tak, że pierwsza połowa jego mowy była dla publiczności szerszej zupełnie stracona. Drugi miał zaledwie trzy dni czasu do przygotowania się, bo zastępował znanego przewódcę centrum w Berlinie dr. Liebera, który przybyć nie mógł. Mowy na temat: Kościoł a kwestya socyalna, nie każdyby się podjął, gdyby ją miał wygotować w trzech dniach, ale mógł to zrobić autor znanej apologetyki, w której cały tom poświęcił kwestyi socyalnej. Chudy, blady Dominikanin, mówił zrazu tylko z trudnością; potem głos znalazł silniejszy, ale z widocznem wytężeniem dobywał sił ostatnich. Tematu samego nie wyczerpał właściwie, lecz to co powiedział, było porywające.

Największe jednak wrażenie zrobiła mowa kardynała Gruscby, który ma niezaprzeczony talent oratorski, a mówił rzecz dobrze obmyślaną. To też, gdy miał udzielić błogosławieństwa apostolskiego, w głębokiem skupieniu co żyło poklękło; stali tylko dwaj biskupi i nuncyusz.

Tak więc całe zebranie odbyło się uroczyście i wspaniale, a żaden nie zakłócił go wypadek. Rezultat jest najpierw ten, że stronnictwo chrześciańsko-socyalne odniosło tryumf już przez to samo, że potrafiło wiec ten do skutku doprowadzić. Drugi, może jeszcze większy, że po wiecu kardynał zbliżył się na estradzie do Luegera, który mu z uszanowaniem rękę ucałował. Od czasu zatargu w sejmie dolnoaustryackim stronił kardynał od całego tego stronnictwa, a przyznać należy, że miał do tego słuszne i liczne racye. Jeśli teraz stronnictwo nabierze rozumu i nie będzie zbytnio „przeciw ościeniowi wierzgać“ — jak mówi Pismo św. — to może daleko więcej, niż dotąd, zdziałać dobrego.

Trzecia okoliczność, którą podnieść wypada, jest to, że wiec ten uchwalił rezolucyą, domagającą się przywrócenia władzy doczesnej Ojcu św. Kto wie, na jakie trudności dyplomatyczne natrafiały oba wiece generalne t. j. drugi katolicki w Wiedniu i trzeci w Lincu — trudności, uniemożliwiające taką rezolucyą, — ten przyzna, że krok w tej mierze zrobiono stanowczy. Mamy nadzieję, że mimo to nie rozchwieje się trójprzymierze i żaden strzał nie padnie a w dalszem następstwie katolicy na przyszłych wiecach pozbędą się zajęczej skórki.

Pomiędzy licznymi telegramami, które nadesłano na wiec, była odpowiedź od kardynała Rampolli z błogosławieństwem Ojca św. i był też — jedyny — telegram polski, od czytelni katolickiej we Lwowie. Z Polaków było na wiecu tylko dwóch posłów duchownych.

Wiec zakończył się „komersem“ katolickich studentów, a zdaje mi się, że piękniej zakończyć się nie mógł. Młodzi akademicy, biorący żywy udział w wiecach katolickich, dają rękojmią, że wstąpią w ślady tych, którzy dzisiaj bronią katolickiej sprawy. Tę nadzieję wyraził też w pięknem przemówieniu na „komersie“ polowy biskup dr. Belopotoczky, który oświadczył, że przemawia w imieniu Nuncyusza, także obecnego na komersie.

Kiedyż nasza młodzież będzie miała tyle cywilnej odwagi, żeby jawnie występować pod sztandarem katolickim?

Demokracya katolicka w Polsce.

(Ciąg dalszy.)

XXVIII.

Moralne rozluźnienie jednostki.

Jeżeli teraz, z tą miarą w ręku, przystąpimy do zmierzenia wpływu, wywartego na indywidualną duszę polską przez instytucye przeszłości, badanie to, niestety, nie wypadnie na ich korzyść. Nie znalazły w nich należytej pomocy owe cnoty, za pomocą których chrześcijanin staje się naprawdę molekulą społeczną, przez zwyciężanie w sobie egoizmu ciała, egoizmu chciwości i egoizmu niezależności od Boga.

Czemże się to tak stało?

Oto tem, że, jak się już rzekło, społeczności naszej, będącej ustrojem czysto swojskim, — z gruntu słowiańskiego, bez przymieszki żadnej, — wylęgłym, dzieje odmówiły okoliczności rozwijających, takich, jak te, co spotkały społeczeństwa zachodnie. Okoliczności te wymieniliśmy wyżej. Tu dodamy, że monarchia nieograniczona i wszechwładna pierwszych Piastów, rozsiadła na karkach tłumów ulegających przemocy, nie sprzyjała, jak monarchia feodalna, organicznemu rozczłonkowaniu społeczeństwa, określającemu, ale jednocześnie wzmacniającemu indywidualizm.

Następne zamieszki i boje epoki udziałowej nie dopuściły przeniesienia do nas, w sposób szerszy, instytucyi rycerstwa, będącej, odpowiednim owym czasom, kształtem świeckiego ideału doskonałości chrześcijanina. Kościół z sobą form społecznych do nas nie przyniósł, bo ich w ogóle nie przynosił, a tylko uświęcał istniejące i, które rozwijały się następnie w jego duchu, o ile on je sobą przejął. A skoro u nas, dla przyczyn, powyżej przytoczonych, to przejęcie się Kościołem nie było głębokiem, a instytucye miejscowe były przez się proste i pierwotne, jak być musiało u ludu spokojnie i biernie na roli siedzącego, — tak biernie, że powódź barbarzyńców mogła go na szmaty podrzeć, a nie zdołała porwać go ze sobą; — więc musiały u nas rzeczy zająć od początku stanowisko, na którem je dziś jeszcze widzimy. Mianowicie

nie musiało przyjść u nas do przeobrażenia gruntownego, i do chemicznego niejako połączenia ducha Kościoła z życiem społecznem; (połączenia, nigdzie, zresztą, niedoszłego do swej pełności z powodu odrodzenia pogaństwa), tylko nastąpiło zestawienie tych dwóch żywiołów, i mniej lub więcej doskonałe ich spojenie.

Stąd łatwość, z jaką zawsze u nas porządek natury występował, jak zaskórna woda, i bez oporu wylewał się na powierzchni, pod postacią bądź to odradzającego się pogaństwa za Bolesławów, bądź to „nowinek" genewskich i francuskich, lub za dni naszych, niemieckich — liberalizmu i filozofii. — Jeśli więc jednostki, choć nieraz nieco gęściej, zawsze jednak, jakby egzotyczne kwiaty, dochodziły do spełnienia w sobie, tak częstego na zachodzie ideału świętego czy rycerza, to ogół płynął korytem pospolitego, poziomego, przyrodzonego swego żywota. Ten rozdział ducha i życia wcisnął się, do Kościoła samego, jak na zachodzie wciskał się doń feodalizm. Jednak zło, choć nie wydawało bijących w oczy herezyi, wszakże rozdzielając wiarę i życie, musiało mieć skutek, którego śladów dotąd pozbyć się nie możemy — zamykało wiarę w Kościele, w obrzędzie, w westchnieniach serca — a życie toczyło się naprzód, regulując się formułkami z wiary zaczerpniętemi, które później zastąpić mogły wszelkie inne formułki.

Na krótko Jezuici ten upadek wstrzymali. Z końcem XVII-go stał się on już ruchem ogólnym. Podobnie dziś nasz lud wierzący, a nie znający dość wiary, ani dość nią życie swe przejmujący — gdy wyjdzie z zakresu swego horyzontu, wiary koniecznie nie tracąc, nakłada na nią Bóg wie jakie liberalne albo bezwyznaniowe formułki, których nie rozumie, ale które życiu jego nadają pozór niezamiecionej izby. Tam to, w tem oddzieleniu wiary od życia, szukać należy początku naszej łatwości przyjmowania nowych doktryn i naszej obojętności religijnej.

Instytucye więc u nas i dzieje, od początku, nie sprzyjały, a z czasem coraz mniej, wytworzeniu się w jednostce wyraźnego i mocnego typu chrześcijanina. Jakkolwiek się tego bez boleści nie przyznaje, trudno jednak zaprzeczyć, jeśli się zważy na czem ten typ zależy. Słaba to pociecha, że z rozszerzeniem pojęć, puszczonych w obieg przez trzy ruchy antychrześcijańskie w Europie — przez renesans w swojem spaczeniu, przez reformacyę i rewolucyę, — na całym świecie przyszło do tegoż rozdziału życia z duchem chrześcijańskim, chociaż na odmiennych drogach; że się już o Rosyi nic tu nie powie. Słaba to pociecha, bo myśmy tę chorobę już przepłacili życiem, gdy inni jeszcze z nią żyją.

Ten rozdział jednak między życiem a wiarą, pochodzący, jak się rzekło, z niedojęcia naszej natury do gruntu przez działanie Kościoła, był niewątpliwie przyczyną, że przybierający w instytucyach egoizm posiadających przewagę, nie znalazł w nichże, ani w duchowieństwie, żadnego znaczniejszego oporu ze stanowiska zasad i obowiązków słuszności. Tym sposobem jednostka przez instytucyę naciskana i paczona traciła powoli nietylko łaskę nadprzyrodzoną społecznego życia, ale i poczucie tych przyrodzonych warunków uspołecznienia, któreśmy wskazali w trzech cnotach ubóstwa, czystości i posłuszeństwa. A w nich przecie zawiera się i fundament naturalnej moralności i treść Nowego Zakonu, ogłoszonego przez Zbawiciela w ośmiu błogosławieństwach. Był to rozkład moralny duszy chrześcijańskiej, powolne jej zstępowanie do dołu, — poddawanie jej coraz większe wpływom ciała, świata zewnętrzego, nerwów, wrażeń i wyobraźni. Przystęp utrudniony został prawdzie, i lekkomyślność ze swojem znanem: „jakoś to będzie" wzięła górę. Ludzi z ludźmi już nic nie jednoczyło wyższego, choć po pijanemu nawoływali się do miłości. — Była też to miłość, pochodząca z interesu wspólnego, niegodna swego imienia. Wyspołecznienie dokonało się.

A dokonało się ono, trzeba kłaść nacisk na tę prawdę, skutkiem zapomnienia o duchu ubóstwa, czystości i posłuszeństwa.

Instytucye rozwinęły się bez przeszkody tak, że zdławiły naprzód wolną pracę i w stanie wyzyskującym i w stanach wyzyskiwanych. Stała się większa jeszcce krzywda krajowi ze zduszenia miast, bo w krajach zachodu, gdzie lud był więcej uciemiężony niż u nas, istnienie wolnej pracy miast zachowało zarodek cnót jej towarzyszących. U nas, przeciwnie, ciężka służebna praca stała się hańbą w wyobrażeniach inteligencyi; i do dziś dnia widzimy, że dla ludu próżnowanie jest ideałem wolności i panowania.

Jeśli się jednak patrzy na moralne skutki w duszach tego poniżenia pracy spostrzega się ruinę życia chrześcijańskiego, tak indywidualnego, jak społecznego.

Indywidualnego — dla rzeczonych już powodów. Praca wolna, obowiązkowa a ciężka jest zwycięstwem wyższego rozumu nad wolą własną i nad ciałem, szukającem spoczęcia, zabawy i rozkoszy. Gdy jej nie stało, przemogło ciało nad duchem, i wywołało niezliczone następstwa.

Naprzód tedy niewytrwałość, — bo odbywanie obowiązku byle jak; zmienność myśli, bo zależne się stały od wrażeń; lekkomyślność, bo konieczna niestałość we wrażeniach; wstręt do zobowiązywania się, i niedotrzymywanie zobowiązań, bo wola panująca stała się podległą wrażeniom. Trudność skupienia, uważania, myślenia logicznego, wywodzenia rozumowego: a przeciwnie branie wrażeń i wyobrażeń za myślenie. Trudność uczenia się mozolnie — szukania prawdy z pracą, a za to branie swej intuicyi uczuciowej lub wyobraźniowej za dokładny probierz prawdy, skąd niestałość, niepewność, mięszająca się z chwilami pewności.

Stąd też niestałość i niepewność stosunków o ile nie są oparte na przyzwyczajeniach, a te są znowu owocem nabytej jakiejś skłonności w zmysłach, w nerwach, słowem w ciele.

One to są stałością ciała, i trudno im się oprze kto nie wyćwiczony w rządzeniu się rozumem. Po za przyzwyczajeniami do miejsc i do osób, branemi nieraz za miłość kraju lub przyjaźń, — a których odnogami są koleżeństwa i kliki — utrudnione są w takiem społeczeństwie stosunki, oparte na znajomości charakterów, na wspólności zasad. Mierzy się wtedy ludzi przyjemnością i sympatyą. Oczywiście takie społeczeństwo jest sproszkowane i staje się łupem każdego zręcznego. Oczywiście, w takim społeczeństwie cenione są bardzo rzeczy na wyobraźnię działające — poezya, teatr, sztuka; a w lu-

dziach, to co olśniewa lub dotykalną korzyść przynosi, jak dowcip, sława, zręczność, oportunizm i utylitaryzm, — które są, nie przeczę, dobre niekiedy, — ale dopóki nie zabierają miejsca zasadom.

Chęć bawienia się, używania bez pracy, są oczywiście dziećmi lenistwa, które przez uprawnienie próżniactwa wzięło górę nad działalnością ludzką, nieodpierającą trudu, owszem, potrzebującą go. Ale ciało nie zadowalnia się tem zwycięstwem. Nie dość mu odpoczywać, nie dość mu się zabawiać, — ono szuka, sobie właściwej, cielesnej rozkoszy. *Otium generat vitia.* Co wstrzyma ludzi bawiących się i próżnujących od jednego kroku jeszcze ku rozpuście? Nie zasady, nie obowiązek, nie duch— to wszystko jest u nich tak wiotkie. Przy tem kusi możność, jaką daje bezkarność, w położeniu niezależnem, panującem nad krociami ludzi uboższych, zależnych. Stąd zamiast podnoszenia ludu, demoralizowanie go, czasem straszne rozmiary przybierające — tu i owdzie jeszcze dziś trwające u ludzi policzonych do uczciwych. — Do tych uczciwych dałoby się zwrócić te słowa proroka: *Justitia vestra sicut pannis menstruatae.* — Czystość małżeńska skalana przez niewierność mężów naprzód, — potem nie raz przez kobiety. Drażliwa to materya. *Incedo per ignem.* Trzeba jednak położyć palec na ranie. Dość powiedzieć, że za czasów księstwa Warszawskiego przyszło było do tego, iż złowić umyślono na tę wędkę mocarza, i najwyższi dygnitarze, najpierwsze panie pędzili doń ofiarę. — Bóg, od którego losy narodów zależą, patrzył z góry na te zbrodnie, i odwracał się od nas! — Oto do czego przyszły obyczaje i oto jaki owoc wydały instytucye, które powinny były strzedz cnoty czystości.

O rozwodach już nic nie mówimy.

Przebiegamy to naprędce, — chciałoby się spojrzeć tylko i minąć, jak Wirgil radził Dantemu. — Ale nie jesteśmy jeszcze, jak Dant, w dziedzinach śmierci. — Jeszcze jest czas poprawy, i trzeba mówić, — ale co to: mówić! — trzeba krzyczeć.

Co się zaś stało z cnotą posłuszeństwa, tem trzeciem palladyum społeczeństwa gdy instytucye nie umiały zapobiedz chciwości, lenistwu i nieczystości, — to wie każdy.

Więc upadły u nas fundamenta życia moralnego jednostki, i życia społecznego! — Jakże się mogły ostać i jednostka i społeczeństwo. — Staliśmy się pośmiewiskiem narodów, my, którzyśmy byli dumni naszą wolnością. *Qui nutriebantur in croceis, amplexati sunt stercora.*

A tak chrześcijański pierwiastek, który nigdy głęboko nas nie dojął — nie mógł nas przerobić. Dzięki instytucyom naszym, egoizm zapanował nad nami, i jak z twierdzy swojej tak z łona naszego, ze szlachty, zapanował nad krajem. Ciało w złotej wolności się rozdęło, zaciągnęły się mgłą przesytu umysły, i zniedołężniały wole, aż uderzył grom. Nie trzeba tu było mściwego Boga, rzucającego klątwy bezlitośne, jak go sobie poeci nowej doby wyobrażają. Tu wystarczyła Nemezis logiczna zjawisk moralnych, sprowadzających nieuniknione skutki. Społeczność ludzi chrzczonych a wolnych, postawiona w warunkach gwałcących naturę chrztu i wolności, bo poddających ducha ciału, musiała stracić swoją moc jednoczącą. Na tej drodze myśmy musieli przyjść do wyspołecznienia.

Człowiek nie rodzi się wolnym, jak twierdził Russo, — staje się nim przez Chrystusa. — Nie chceli być uczniem Chrystusowym, będzie niewolnikiem.

(Ciąg dal. nast.)

Ks. L. Z.

Z prasy peryodycznej.

Nowa Reforma doniosła a za nią *Dziennik Polski* (30. z. m.) powtórzył, że ks. Paździorze z Gnojnika, organizatorowi wycieczki dziatwy polskiej ze Szląska na wystawę lwowską, wytoczył śledztwo dyscyplinarne ks. kardynał Kopp i kazał temu kapłanowi podpisać deklaracyę, iż na przyszłość nie będzie brał najmniejszego udziału w żadnym ruchu narodowym. Nadto zarzuciła *Nowa Reforma* ks. kardynałowi Koppowi, że stara się zgermanizować Szląsk austryacki, gdyż do ludności polskiej miewał podczas ostatniej swej podróży niemieckie kazania i t. d. Jednem słowem przedstawiła tego księcia Kościoła jako zdecydowanego polakożercę. Przeciw tym insynuacyom zaprotestowało duchowieństwo polskie na Szląsku, zarówno w *Gwiazdce Cieszyńskiej* jak i w wychodzącym we Frywałdzie tygodniku katolickim *Volksfreund*.

Przedewszystkiem co do zarzutu, że ks. kardynał miał kazania niemieckie do ludności polskiej, to konstatują kapłani polscy w swym proteście to, co *Nowa Reforma* zamilczała, że ks. kardynał miał z sobą kapłana, który pełnił funkcye tłómacza i każde słowo ks. Koppa tłómaczył ludowi na język polski.

Co się tyczy rzekomego śledztwa dyscyplinarnego przeciw księdzu Paździorze, to sprawa miała się tak, iż ks. kardynałowi Koppowi przesłano mnóstwo wycinków z gazet, zawierających doniesienia o pobycie dzieci szląskich we Lwowie i o mowie ks. Paździory. Wtedy ks. kardynał uczynił, co było jego powinnością i wezwał prywatnie swego wikaryusza generalnego, ażeby zapytał ks. Paździorę, czy gazety te, z których wycinki mu przysłano, napisały prawdę. To było całe dochodzenie. O śledztwie dyscyplinarnem nie było mowy, ani też nigdy nie żądał ks. kardynał Kopp od ks. Paździory podpisania jakiejkolwiek deklaracyi.

W ogóle kapłani polscy ze Szląska atak *Nowej Reformy* na ks. kardynała Koppa uznają za bezpodstawny, podyktowany złą wolą i piszą: „Oświadczamy, że ks. kardynała poznaliśmy zawsze jako przyjaciela Polaków, a że nim jest rzeczywiście, na to mamy nie jeden, ale sto dowodów".

Ilekroć czy *Reforma*, czy *Dziennik Polski*, gwoli sensacyi, podały wiadomość, ubliżającą władzy kościelnej, tylekroć z wiarogodnych sprostowań mogły się przekonać, że mężowie ich zaufania albo całkiem rozminęli się z prawdą, albo co najmniej przekręcili ją do niepoznania. Czyżby nasze pisma liberalne nie wiedziały o tem, że mimo sprostowań *semper aliquid haeret?* Albo czyżby im właśnie zależało na tem, *ut aliquid haereat?*

Za trafne rozwiązanie tej zagadki nie przyrzekamy łaskawym czytelnikom żadnej premii — z obawy, że liczba zasługujących na nagrodę okazałaby się zbyt wielką.

* * *

Gazeta Narodowa w N-rze 292 z 18. b. m. obwieszcza wszem w obec i każdemu z osobna, że „system rządów duchownych, obecnie praktykowany (w dyecezyi lwowskiej o. ł.), jest i dla Kościoła niekorzystny, gdyż wyziębia serca kapłańskie, a dla sprawy narodowej jest klęską"; zarazem wyraża nadzieję, że przyszły sufragan „zdoła może wpłynąć w tym kierunku na kierownictwo (styl *Gaz. Narod.!*) zarządu archidyecezyą lwowską ob. rz. kat., ażeby podwładnemu klerowi parafialnemu nie przedstawiano suchej, bezdusznej biurokracyi, jako ideału duszpasterstwa".

Asserentis est probare; ponieważ *Gazeta Narodowa* nie podaje żadnych dowodów, lecz poprzestaje na gołosłownem twierdzeniu, to zwalnia nas od obowiązku walczenia argumentami. *Quod gratis asseritur, gratis negatur.*

Może jednak nie zawadzi przypomnieć, że ks. Arcybiskup, zaraz na początku swoich rządów, kanclerzem ustanowił i na tej posadzie dotąd zatrzymuje kapłana, który uprzednio w charakterze Ojca duchownego przez długie lata kleryków zaprawiał do kapłańskiej doskonałości. Czy przez to samo, iż kierownictwo kancelaryi konsystorskiej, pierwszej poniekąd instancyi duchownej dla księży i świeckiej publiczności, powierza nałogowemu idealiście, nie składa ks. Arcybiskup jawnego dowodu, że nawet tę część urzędowania, która z natury swej jest biurokratyczną, zachować chce od suchej, bezdusznej formalistyki?

Gazeta Narodowa po rozlicznych ewolucyach i przeobrażeniach wstąpiła, zdało się, na drogę, na której mogła z czasem zyskać sobie zaufanie kleru. Jeżeli przypadkiem nie zmieniła programu i chce, jak do niedawna, posiąść sympatye duchowieństwa, to musi koniecznie postarać się o prawdziwsze wiadomości kościelne. Pod tym względem jej gawędy w nowszych czasach są jeszcze bardziej naiwne, niż złośliwe. A przecież nie wypada, aby najstarszy organ lwowskiej opinii przyjmował bez krytyki i głosił bez zastrzeżeń takie rewelacye, które reporter wyinterwiewował gdzieś.... „pod zieloną wiechą“ u jakiegoś.... kalikanta z przedmieścia.

O reformie nauki religii
w szkołach gimnazyalnych.

(Ciąg dalszy).

Jak między uczniami katecheta przedstawia pierwiastek religijno-moralny, aby światłem i siłą jego elewów swoich napoić, oświecić, przeniknąć i do czynów dobrych usposobić, tak i między profesorami reprezentuje on tenże sam pierwiastek, ale na to, aby w nim całe ciało nauczycielskie połączyć i zgromadzić i do współdziałania ze sobą w jednym, Bożym kierunku zachęcić i doprowadzić. I dlatego niech się bardzo strzeże, aby nigdy od tej idei, od tego sztandaru swego, choćby na pozór i chwilowo tylko, nie odstępował. Wszelka w tej mierze dla innych względów konniwencya lub ustępstwo, wszelka obojętność lub lekceważenie, nietylko go czyni niegodnym tej idei, którą przedstawia, nietylko może ściągnąć na niego miano odstępcy lub wolnomyślnika, ale nawet u tych samych, dla których przyjaźni lub względów to czynił, nie postawi go w dobrej opinii, choćby mu nawet chwilowo i na pozór przyklaskiwali. Nie idzie jednak za tem, żeby miał być jakimś mentorem lub moralistą między kolegami, lub żeby cnota jego, jak mówi poeta, była jakaś ponura lub dzika, owszem pewna uprzejmość, koleżeńskość i wesołość — i jeżeli można — pewien dowcip i dobry humor powinny go cechować; tu tylko przestrzegamy, żeby zażyłość jego lub przyjaźń z kolegami nie posuwały się nigdy aż do zapomnienia, czem jest — i aż do aprobaty, choćby milczącej, jakichś żartów lub wybryków, jeżeliby te obrażały wiarę, moralność, lub praktykę wiary, albo obyczajności chrześciańskiej. W dysputy o wierze, lub o niektórych zasadach chrześciańskich, zwłaszcza w większem gronie, nie radziłbym się wdawać, gdyż poza tem kryje się często chęć choćby żartobliwego dokuczenia katechecie, wprowadzenia go w ambaras, lub co gorzej ośmieszenia choćby lekkiego religii i jej przepisów; jeżeliby jednak kimś kierowała rzetelna chęć poznania prawdy, oświecenia się i usunienia przesądów, których tak wiele o kościele i religii katolickiej, wtedy niech katecheta stara się krótko i treściwie rzecz wyłuszczyć, lub wskaże mu odpowiedne dzieła, które o tej rzeczy traktują. W kwestyach, które dzisiaj wstrząsają światem, a których aktualność i wpływ na społeczeństwo nawet w szkole się odbija, niech ma wyrobiony sąd i zdanie, bo nic tak nie czyni ujmy katechecie, jak nieumiejętność lub chwiejność w zdaniu, w rzeczach zwłaszcza, które z powołaniem jego w ściślejszym są związku; a nic znowu tak nie podnosi jego powagi i nie dodaje mu znaczenia, jak kiedy się przekonają profesorowie i uczniowie, że jest biegły i wykształcony — i to nietylko w swoim przedmiocie, ale i we wszystkich innych naukach, w związku z nim będących, jak w historyi, lileraturze, a jak w dzisiejszych czasach, choćby nieco także w ekonomii politycznej i w naukach społecznych, które coraz gwałtowniej wejścia swego do systemu innych nauk szkolnych się domagają.

Zresztą całe jego postępowanie z kolegami w szkole, niech będzie pełne taktu, roztropności i godności; a jeżeliby udało mu się osięgnąć takie porozumienie i jedność w zasadach i postępowaniu, żeby mógł być jakby duszą całego grona, byłoby to szczytem jego uzdolnienia katechetycznego i najlepszem świadectwem dla jego rozumu i serca.

Jeszcze więcej powinien się katecheta starać o porozumienie z rodzicami, gdyż dom i szkoła to są dwa ogniska wychowania, które nigdy sobie nie przeszkadzać, lecz wzajemnie sobie pomagać i zawsze ręka w rękę iść powinny. A lubo różne są te domowe ogniska i różne domy; lubo troskliwość wychowawcza po domach w ogóle się zmniejszyła, a rozluźnienie stosunków rodzinnych i upadek cnót domowych coraz więcej widzieć się daje; lubo dom niekiedy nie tylko nie pomaga szkole, ale często niweczy jej działalność, — to jednak w interesie dobrego i skutecznego wychowania, w interesie dobra młodzieży, katecheta powinien starać się utrzymać choćby te niejakie i luźne stosunki, jakie się osiągnąć dadzą, być gotowym do rady i pomocy, jeżeli jej rodzice lub opiekunowie zażądają, a często nawet zawezwać ich do rozmowy i narady ze sobą, jeżeli tego jakieś ujemne objawy ze strony chłopca, lub wątpliwości co do jego domowego prowadzenia się wymagają. Tym sposobem może katecheta znaczny wpływ pozyskać na ogólne wychowanie chłopca, stać się jego jakby Aniołem Stróżem, a zarazem znakomicie wesprzeć pracę dyrektora i profesorów, którzy także na porozumieniu się z rodzicami lub opiekunami działalność swoją wychowawczą opierać muszą.

Lecz nietylko sama działalność katechty w szkole, nietylko czynna jego troskliwość o młodzież, wyczerpują zajęcie jego, ale prócz tego musi on się także zająć sam osobą swoją własną; a im wyższe, ważniejsze, donioślejsze są zajęcia jego w szkole, tem głębsze musi być to zajęcie samym sobą, tem lepsze przysposobienie własnego ducha, tem usilniejsza praca nad własnem

udoskonaleniem, bo z jego dopiero udoskonalenia udoskonalenie młodzieży wyrasta. Stosunek tu zachodzi taki jak między budynkiem a fundamentem; im wyższym i wspanialszym ma być budynek, tem głębszym i pewniejszym musi być fundament jego, a tym fundamentem u katechety nic innego nie jest, tylko jego własna dusza, która, jeżeli będzie płytką, zimną, ubogą w naukę i cnotę, wtedy nie potrafi nic przelać w uczniów swoich, chyba tę odrobinę rutynowej instrukcyi, która może ostatecznie wystarczyć, ale nigdy zadowolnić. I dlatego katecheta musi być przedewszystkiem mężem modlitwy, bo z modlitwy czerpie on swoje najcelniejsze siły, swe światło, swój zapał, swe poświęcenie, swą wytrwałość. Bez modlitwy będzie on jako ziemia bez wody, rola bez rosy, kwiat bez słońca — i jeżeli żaden kapłan, choćby dla siebie tylko, lub dla szczupłej liczby parafian swoich żyjący, nie potrafi w żaden sposób spełnić szczytnych obowiązków stanu swojego bez modlitwy, — daleko więcej katecheta, który z nadobfitości swojej ciągle rozdawać musi. Na tę nadobfitość skądżeż zapasu weźmie, jeżeli nie z tej najszczytniejszej czynności, jaką jest Ofiara Mszy św., brewiarz, lub reszta modlitwy i rozmyślania? Ale obok modlitwy musi on być także mężem nauki i pracy, bo do niego więcej jeszcze jak do innego kapłana stosują się te słowa: *„Iżeś odrzucił umiejętność, odrzucę cię, abyś mi w kapłaństwie nie służył; iżeś zapomniał zakonu Boga twego, zapomnę i ja synów twoich.* (Ozee IV. 6.) I dlatego Pismo św., Ojcowie kościoła, księgi teologiczne, historyczne i inne z powołaniem jego w bliższym związku będące, muszą być w rękach jego i udzielać mu tej mądrości, którą się ma żywić dusza jego. Lecz nietylko z ksiąg, ale i z najbliższego żywego otoczenia swego czerpać on musi owego dobrego ducha, który ma w nim mieszkać i drugim przez niego się udzielać. A to nas prowadzi do skreślenia trzeciego, powyżej przez nas wspomnianego, stosunku, czyli stanowiska, jakie wśród swego własnego duchownego stanu zajmować powinien.

Nie mamy tu jednak na myśli stanowiska pod względem hierarchicznym, gdyż rzecz ta do nas nie należy, a zresztą z góry już przez przepisy i zwyczaje kościelne jest oznaczoną, ale idzie nam tu o stanowisko duchowe, żywe, z bracią swoją jak roślina z glebą i otoczeniem swojem się jednoczące i z niej siły i zasoby swoje czerpiące. Pod tym względem pisze do mnie jeden przezacny, dbały wielce o dobro swoich współbraci: „Największe niebezpieczeństwo, według mojego zapatrywania, grozi nam z tej strony, że ks. katecheta tak łatwo wpada w mniemanie, iż jest urzędnikiem, c. k. profesorem i przez zetknięcie się z innymi profesorami nabiera powoli urzędniczego ducha. Często, jeżeli nie chce wojny prowadzić z dyrektorem, ulega mu i powoli więcej się ogląda na władzę świecką, niż duchowną; zapomina, że mocą słów: *euntes docete omnes gentes*, naucza prawd wiary i moralności, a nie wskutek systemizowania swego na c. k. nauczyciela religii. Liberalizm w Austryi pod tym względem odniósł zwycięstwo, że katechetów kontroluje bodaj czy nie więcej rząd, aniżeli biskup". W dalszym ciągu tenże kapłan, wychodząc z zasady, że nic w kościele nie dzieje się bez dozoru i kontroli, proponuje, aby ks. katecheta mieszkał razem z duchowieństwem parafialnem, a proboszcz miejscowy aby był rzeczywistym przełożonym ks. katechety; a w tych miastach, jak we Lwowie i Krakowie, gdzie jest ich kilku, aby mieszkali razem i mieli swego dziekana, czyli seniora jako przełożonego; jeżeli bowiem do biskupa należy kontrolować, co się dzieje na plebanii lub wikaryówce, tejże samej kontroli powinien ulegać katecheta, z której się jednak wyłamuje, mieszkając gdzieś w mieście.

W końcu nadmienia tenże sam kapłan: „Jeden z biskupów naszych skarżył mi się, że tak mało dbają katecheci o rozbudzenie powołań do seminaryum w uczniach swoich. Lecz katecheci, jak długo będą narzędziami w rękach c. k. Rządu lub Rady szkolnej, a nie narzędziami Władzy duchownej, błogosławieństwa w pracy swojej mieć nie mogą". Te słowa zawierają wiele prawdy, wiele praktycznych wskazówek, dążących do utrzymania dobrego ducha i do ochrony przed zeświecczeniem katechetów; a lubo może nie wszędzie i nie odrazu, ze względu na miejscowe stosunki, dałyby się zastosować, sądzę jednak, że powoli i stopniowo (zaczynając np. od tych miast, gdzieby się to najłatwiej uskutecznić dało), za zgodą i staraniem samychże katechetów, mogłyby te życzenia i wskazówki wejść w życie; poczem dopiero przez odpowiednie rozporządzenia biskupie rzecz cała raz na zawsze i w całym kraju uregulowanaby została. Rzecz ta nadto z powodu wzmagającej się drożyzny nawet pod względem ekonomicznym mogłaby mieć swoje znaczenie; a do podniesienia ducha, do wzajemnej pomocy i instrukcyi, do solidarności katechetów między sobą niezmiernieby się przyczyniła. Do tej reformy, albo raczej do tego obyczaju mogliby także przystąpić katecheci szkół wydziałowych i miejskich, gdyż i oni w podobnem są położeniu, a ze względu na niższe swoje uposażenie, tem bardziejby może ze wspólnego stołu i mieszkania, czyli tak zwanego menażu korzystać chcieli. Tak ukończywszy rzecz o katechetach i ich najważniejszych obowiązkach, moglibyśmy zadanie nasze uważać za skończone, gdyby nam się nie przypominało, żeśmy o exhortach i o tak zwanych praktykach i ćwiczeniach duchownych za mało powiedzieli, przetoż jeszcze rzecz naszą pod tym względem uzupełnić chcemy.

(Ciąg dal. nast.)

Ks. dr. Julian Bukowski.

Jak nam dzisiaj nad ludem pracować?

(Dokończenie).

W związku niejakim z Żywym Różańcem pozostaje zwyczaj chodzenia po kolendzie. Bo wtedy odwiedza proboszcz, jako przełożony Różańca, wszystkie swoje róże, rozrzucone po parafii.

Ale nie było jeszcze Żywego Różańca, a zwyczaj ten u nas już istniał, a zatwierdził go i polecił gorąco sobór nasz prowincyonalny w r. 1628.

Prawda, trud to wielki chodzić od domu do domu, a jeszcze w porze zimowej, ale opłaca się sowicie pod względem duchowym. W czasie takiej kolendy dopiero dowie się

proboszcz, co się w jego parafii dzieje. Byleby chciał, to wyszuka wtedy wszystkich żyjących na wiarę i zapobiegnie dalszemu zgorszeniu; wyszuka i rozłączone małżeństwa i połączy je; spotka też może niejednego, któremu już wnet stanąć przyjdzie do asenterunku, a u spowiedzi jeszcze nie był ani razu. W parafiach wielkich i o takich nie trudno. A osobliwie przekona się, o ile owieczki jego posiadają znajomość prawd wiary i postanowi, co się zda potrzebnem. Po takiej kolendzie, dokładnie odprawionej, zmieni nieraz proboszcz cały kierunek swej pracy i pocznie inaczej mówić kazania, inaczej też spowiedzi słuchać. Błogosławiony to zwyczaj, bylebyśmy tylko chcieli go przestrzegać.

Wszędzie jest on potrzebny, bo proboszcz ma znać owieczki swoje, ale więcej potrzebny w parafiach, gdzie pomięszane obydwa obrządki, niż tam, gdzie w tym względzie jest jednolitość. Jakoż widzimy, że ruscy księża zwyczaju odwiedzin swoich parafian bardzo przestrzegają i bodaj raz na rok, na święto Jordanu, pokazują się owieczkom swoim w ich domach.

Ileż to dusz takie odwiedziny przysparzałyby naszej owczarni, które nieprawnie przyswojono obrządkowi ruskiemu!

Dlatego też proboszcz sumienny nie zaniedba tego, ażeby już to sam, już przez księży wikarych, nie wypełniał tych pasterskich odwiedzin. Jeżeli parafia jego zbyt jest rozległa, to sobie tę pracę rozłoży w ten sposób, że w pewnym przeciągu czasu zawita do każdego domu, w którym przebywa owieczka jego.

Ale człowiek samem słowem nie może żyć, potrzeba mu i chleba. To też nie dosyć jest, pamiętać tylko o stronie moralnej swojej parafii, ale potrzeba jeszcze i o chlebie powszednim owieczek pamiętać, czyli popierać dobro ludu pod względem materyalnym.

Mamy tu na myśli przedewszystkiem te Kółka rolnicze i te sklepiki, które się po naszych zawiązują wioskach. A nie jest to rzecz mała, jak sobie niektórzy tłómaczą, chcąc chyba w ten sposób wytłómaczyć się przed swojem sumieniem, iż nie przykładają rąk do tego dzieła, co lud nasz dźwiga tak do góry i dobrobyt jego pomnaża. Bo choć dobrobyt i moralność nie zawsze idą ze sobą w parze, to jednak wiemy, że i ubóstwo jest wiela złego przyczyną.

Kółka rolnicze, byleby się niemi zająć troskliwie, tyle podają nam sposobności do podniesienia ludu z ubóstwa i nędzy! Prawda, że to się w jednym stać nie może roku, ani nawet w dwu, ale „gutta cavat lapidem". Toć gospodarstwo tak jeszcze zacofane u naszego ludu. Adam, praojciec nasz, chyba nie gorzej gospodarował.

Uprawa roli nędzna, chów inwentarza zaniedbany. A jedno i drugie, to bogactwo kraju. Ziemi mamy dość jeszcze i gdyby się lud nasz nauczył wyzyskać ją przez pracę rozumną, starczyłoby chleba dla wszystkich. Ale do tego potrzeba nauki, a sposobność do tej nauki w Kółkach rolniczych. A proboszczowi, który jest także rolnikiem, nie potrzeba aż osobnych odprawiać studyów, aby w tym względzie na zebraniu Kółka, co należy, powiedzieć. I niechby ich nie nauczył niczego więcej, jeno tego, aby na zimę robili podkłady roli, a nie zostawiali ścierniska do wiosny, jużby się stał dobrodziejem ich wielkim.

W Klimkówce koło Krosna położył jeden z dawnych jej proboszczów tem niespożytą zasługę, że nauczył lud, jak się racyonalnie obchodzić z nawozem. Jeżeliby komu kiedy wypadło tamtędy podróż odprawiać, radzimy mu, wstąpić do tej wioski, choćby dlatego, aby tam umiejętne obchodzenie się z nawozem zobaczyć. I nie uchybiło to stanowi owego proboszcza, że o nawozie uczył i mówił, owszem w poszanowaniu jest do dzisiaj.

A w innem miejscu tem wsławił się proboszcz na długo, że sprowadził ziemniaki, jak mówiono „cudowne" — i rozpowszechnił je w swojej parafii. Jakżeż to mało potrzeba, aby sobie zasłużyć na wdzięczność u ludu.

Popierajmy więc Kółka rolnicze, gdzie już są, a gdzie ich nie ma, zakładajmy je rychło, a stawajmy na ich czele jako przewodniczący. Dziwić się temu nie mało, że w tej poczciwej a tak pożytecznej sprawie pozwalają się niektórzy proboszczowie wyprzedzać: to nauczycielom, to ekonomom, sami zdala się od Kółka trzymając. Taki duszpasterz nie rozumie interesu własnego, bo lud się podwójnie do tego przywiązuje, kto o jego podwójne dobro się stara.

Raźno więc do zakładania Kółek rolniczych przystępujmy, a z Kółkiem łączmy razem i sklepik. Ileż to żydów wywędrowało już z wiosek do Ameryki, nie mając żyć z czego po zaprowadzeniu sklepiku. O ile zaś mniej żydów na wsi, o tyle mniej destrukcyjnych żywiołów. I powiemy, że pozbyć się z chaty wiejskiej choć jednego żyda, równa się zbawieniu dusz kilkunastu.

Kiedy jednak zachęcamy wszystkich duszpasterzy do szczerego zajmowania się biedą materyalną naszego ludu, do zakładania Kółek i sklepików, nie chcemy przez to powiedzieć, jakoby to miało być pierwszym kapłana obowiązkiem. Jako ojcu duchownemu piecza mu przedewszystkiem duchowna nad owieczkami przystoi. Dlatego też nie możemy pochwalić tych, którzy z ujmą chwały P. Boga, a także z ujmą swojej kapłańskiej godności, w kierunku tym idą zadaleko. Jeżeli miara we wszystkiem potrzebna, to i w tem także.

A oczywiście miary tej jużby nie było, gdyby który z nas, w troskliwości o dobro ludu materyalne, jeździł sam na zakupno towarów do sklepiku, albo przesiadywał za ladą kupiecką. A cóżby dopiero należało o tych powiedzieć, którzyby licytowali myta, licytowali propinacyą na siebie. „Ne misceantur sacra profanis". Ubliżałoby to niesłychanie i powadze i świętości kapłańskiej, jeśliby ksiądz, objąwszy propinacyą, krzątał się sam około sprowadzania wódek i przeróżnych napojów, aby zaspokajać pragnienie swoich parafian. A jeszcze jakie wtedy niebezpieczeństwo dla cnoty wstrzemięźliwości! Bo lud nasz i tak ma pociąg do wódki niemały, a kiedy święcona rękami osoby duchownej, to, zdaniem jego, można już pić wtedy bez miary.

Zdawałoby się, że uwaga ta wcale tu zbyteczna, że podobnego nigdzie nie ma i nie będzie wypadku. A jednak experto crede Ruperto. W jednej miejscowości wzmaga się niezmiernie pijaństwo, bo propinacya tam w rękach kapłana. I ci, co dawniej karczmę omijali z daleka, bo siedział w niej żyd, dzisiaj z całą swobodą w niej przesiadują i z całym spokojem sumienia. Nawet kobiety, nawet i dziewczęta, nie wstydzą się do niej zaglądać. I nic dziwnego, że tak jest, bo to karczma księża, bo ksiądz przeciwko odwiedzaniu karczmy już nie występuje. Bo i jakże przeciwko niej może występować, kiedy ją sam wziął w posiadanie? A tak *fiunt novissima pejora prioribus.*

Chcielibyśmy wspomnieć tu jeszcze o jednem — o Kasach pożyczkowych. Ale w takiej Kasie sam proboszcz musi być i kasyerem i kontrolorem i wszystkiem. Praca to żmudna, zajęcie to i czasu dużo i dużo cierpliwości wymagające. Ale jedyne, żeby lud i od lichwy uchronić i wyrwać go z pod wpływu i opieki żyda.

A rozumiemy tu takie Kasy, w których pożyczki są stosunkowo małe, a raty spłaca się w drobnych kwotach co miesiąc. Takie Kasy w rękach proboszcza ileż dobrego przynoszą! Nie jeden dom, nie jedna rola pozostaje przez to w rękach katolickich, inaczej przeszłyby do żyda. Bo dość biedakowi zadłużyć się u lichwiarza na 20 zł., aby wnet całe swoje mienie utracić. Toć wypadków takich liczyć na tysiące. O ile wiemy, Kasy takie znajdują się w Tyczynie i w Staromieściu pod Rzeszowem. Obydwie powstały z funduszu ś. p. ks. Wincentego Cybulskiego, proboszcza w Staromieściu. Fundusz ich początkowy wynosił 100 zł. — mówię sto reńskich. Dzisiaj doszedł on do tysiąca z górą, choć procent tam bardzo umiarkowany. Obecnie możliwa tam ratować potrzebujących znaczniejszą kwotą, z pożytkiem dla Kościoła i kraju. Kasy te mają swoje statuty i zostają pod kontrolą Wydziału krajowego.

Pozwolę sobie zakończyć rzecz moją jeszcze jednem wspomnieniem.

Dość dawno już temu żył kapłan, nazwiskiem Ujejski, w Krościenku. Był on tam proboszczem przez lata długie.

Bywało, nieraz przechadzał się swoim zwyczajem po wiosce, a przechodząc koło domów, zwykł był laską pukać do drzwi swoich parafian. Na ten znak wybiegało, co żyło, powitać ojca duchownego i jego ucałować rękę. A było za co rękę tę całować, bo ta ręka dotykała się wszystkich spraw, wszystkich nędz i niedoli wszelakiej. A ileż to razy ręka ta spoczęła na głowie małych dziateczek, błogosławiąc je. Bo wszystkie dzieci w parafii były jego pieszczochami. To też kiedy wszedł do szkoły, nie było końca radości dla maleństwa. Wieszało się to po nim, otaczało go kołem i witało serdecznie.

A starzy także otaczali go czcią i miłością, bo widzieli w nim wielkiego dobrodzieja swego. Bez jego porady nic się w gminie nie stało, — słowo jego było święte. Radzono się go we wszystkiem, nawet i w tem, jak wcześnie rozpoczynać zasiew, z wiosny czy z jesieni. Z jego porady i przy jego pomocy wioska ta rychło się w prawdziwy zamieniła ogród. Ile gospodarstw, tyle tam sadów powstało. Do dzisiaj są tam drzewa jego ręką szczepione, a ci, co smaczne z nich pożywają owoce, błogosławią pamięci jego. Kiedy zaś umarł, stał się dzień sądny we wiosce i kir ciężkiej żałoby pokrył serca wszystkich, a dzieci najbardziej.

Ks. W. P.

Bibliografia.

Egzorty dla młodzieży szkolnej Tom. II., zawierający exhorty adwentowe, świąteczne i pasyjne), napisał ks. Feliks Józefowicz, katecheta II. gimnazyum we Lwowie, 8-o 251 r. 1895.

Przy licznych zajęciach i wieku podeszłym odłożyłem już na bok pióro krytyczne tem bardziej, że się niektórym Szan. Autorom wydawało zbyt ostrem, a ludzka natura radaby słyszeć same pochwały. Wyjątkowo jednak wpadło mi do rąk dzieło powyższe i przeczytałem je z przyjemnością do końca. Poczuwam się do obowiązku oddania mu słuszności. Znajduję się bowiem w tem miłem położeniu, że wszystkie zasady, które mi się udało zebrać o exhortach i umieścić w §. 119. mojej Homiletyki, znalazłem w tem dziele niejako wcielone; a przeto nie dziw, że Szan. Autor pozyskał odrazu moją sympatyę, a więc pochwały oddane jego I. tomowi w *Przeglądzie Kościelnym* 1893 (w Poznaniu) jak i w *Tygodniku Katolickim* 1892 we Lwowie mogę w całości potwierdzić. Bo czy to wezmę na uwagę treść exhort, czy układ i wykład, metodę i dążność i cechę, czy wreszcie styl i cel wydania, wszędzie spotykam dobrego katechetę polskiego, który naukę religii, w lekcyach szkolnych wykładaną do umysłu młodzieży, exhortami wprowadza do serca i młodzież wdraża w praktyki kościelne w sposób, iżby wszystko czyniła z przekonania i zamiłowania. Na str. 105 słusznie powiada Autor: *„Wychowanie młodzieńca, to żywot jego cały — to proroctwo jego przyszłości, to zadatek szczęścia w tem życiu i za grobem. Wszystko więc winno zmierzać ku temu, żeby wychowanie prowadziło do poznania Boga, służenia mu wiernie i osiągnięcia wiecznej szczęśliwości“.* Te kilka słów odkrywają całe dno duszy autora, jak pojmuje swe stanowisko. To prawdziwy ojciec młodzieży, *vir secundum cor Xti.* nie najemnik, który w exhorcie 20-to minutowej odczyta, co mu w pióro wpadło. Autor wykłada rzecz jasno, przystępnie, przekonywa silnie, spokojnie, łagodnie a poważnie, z miarą i taktem. Zajmująco wpaja cnoty, przestrzega przed występkami, nagina wolę po ojcowsku, słowem ciepłem, serdecznem.

Styl acz prosty, a jednak piękny, równy; język czysty i nie masz nigdzie banalnych frazesów, ani cukrzonych słówek, zapożyczonych z beletrystyki, wyrazów ckliwych, zwrotów głaszczących świerzbiące uszy, II. Tim. 4, 3, wykład jest męski, poważny.

Szczegółowo podnieść muszę logiczny tok myśli, przejrzystość rysów, dobór szczęśliwy tekstów Pisma św., wybór klasycznych cytat, obok Ojców Kościoła także filozofów i klasyków rzymskich i greckich, jak n. p. w exhorcie o Opiece Maryi P.

Bardzo często spotkać się można z określeniami cnót św. Tomasza z Akwinu, trafnymi przykładami, wyjętymi z historyi powszechnej i kościelnej. Źródła cytowane wiernie. Znamionuje autora (jak w pasyjnych) gruntowna znajomość psychologii, praktyczność czyli zastosowanie nauk do młodzieży, oczytanie się gruntowne w żywotach św., nadewszystko krótkość nauk proporcyonalna. Wreszcie zaletą ich jest podnoszenie i zaszczepianie w młodzież naszych tradycyjnych ideałów ojczystych: żywej wiary przodków, gorącej czci i miłości ku N. Maryi P. (jak w exh. na Zwiastow. M., na Trójcę św.), pragnienia i pracy na niebo (w exh. na Wniebowstąpienie P.) i miłości ojczyzny. Tuszymy sobie, że nietylko cel jego: zbudowania żywych kościołów w sercach, ale i drugi cel szlachetny, przyczynienia się swym dziełem do budowy kościołów w dyecezyi Lwowskiej będzie osiągnięty.

Polecamy gorąco tak ks. katechetom jak i kaznodziejom to dzieło, bardzo przydatne — o rozszerzonym planie — do kazań dla dorosłych. Pozostaje mi tylko pogratulować Szan. Autorowi, że szczupły zapas dzieł tego rodzaju zbogacił znakomicie udanem dziełem, życzyć powodzenia na tej niwie i prosić o dalsze tomiki.

Kraków, 26. października 1894.

Ks. dr. Józef Krukowski,
proboszcz kościoła św. Floryana.

KRONIKA KOŚCIELNA.

Rzym. W ostatnim tygodniu października odbyło się poświęcenie odnowionego kościoła i klasztoru Panien Karmelitanek, zwanych terezyankami, przy placu Farnese. W domu tym około r. 1346 mieszkała św. Brygida wraz ze swą również świętą córką Katarzyną. W tym domu otrzymała Objawienia, które były przez nią po szwedzku spisane, jak również i te, które jej spowiednicy spisali. W tym też domu r. 1373 umarła.

Dom jak i kościółek przed dziesięciu laty nabyła Karmelitanka, matka Jadwiga Wielhorska, polka, i założyła Zgromadzenie terezyankami zwane, mające oprócz wspólnego innym zebraniom celu, wieczystą adoracyę przebłagalną za nieszczęśliwą naszą ojczyznę.

Z królewskim prawie nakładem tak klasztor jak i kościółek zostały z majątku matki Wielhorskiej od głębi fundamentów aż do szczytów przerobione i odnowione.

W kościółku są trzy ołtarze, a obok nowozbudowana kaplica Matki Boskiej Bolesnej.

Izdebka, w której kiedyś umarła św. Brygida zamienioną została na kaplicę, a stare malowidła, sięgające zdaje się czasów Klemensa XI., zostały odnowione. Dwie przyległe izdebki, w jednej z których mieszkała św. Katarzyna, zostały również odnowione.

Wszystko wykonane znakomicie, świeci się od barw i marmurów i robi wrażenie prawdziwie czarujące, a o całości wyrażają się znawcy, że to jest perełka artystyczna, jaką został Rzym ozdobiony. — My zaś dodamy, niechże to wszystko będzie na przebłaganie Majestatu Bożego za nasze i naszych przodków winy.

Ks. dr. W. S.

Galicya. Kraków. Nominacyę na biskupstwo krakowskie otrzymał Najprzewielebniejszy ksiądz biskup Jan kniaź z Kozielska Puzyna, sufragan lwowski. Tej nominacyi poświęca *Czas* (w N-rze 264 z 20. b. m.) przepiękny artykuł wstępny, z którego wyjmujemy następujące słowa:

„Mamy już biskupa. Niebawem zasiądzie na stolicy św. Stanisława, Oleśnickiego, Maciejowskich, Gębickich, Lipskich, Woroniczów i Skórkowskich. — Dziedzictwo to niemałe, odpowiedzialności i ciężarów pełne. Minęły czasy, kiedy splendor prawie

królewski otaczał biskupa krakowskiego, ale został splendor moralny i powaga tradycyjna. Biskup krakowski, nie będąc prymasem państwa, był zawsze obok niego przodownikiem episkopatu polskiego. I jest nim jeszcze w sercach ludności, choć dyecezyę jego obcięto, choć Kraków stolicą państwa być przestał, choć Polska bytu politycznego już nie ma. Owszem w czasach rozdarcia i rozbicia, rośnie często znaczenie powag moralnych, a naród z tem większą czcią i uszanowaniem zwraca się do tych, co mu są żywymi przedstawicielami zasad, ładu i dogmatu.

Taką cześć i uszanowanie społeczeństwo nasze niesie nowemu Księciu-biskupowi Krakowskiemu. Nie przychodzi on do nas nieznany, ale owszem poprzedza go świetnie w dziejach Kościoła i narodu zaznaczone imię. Już jako regens seminaryum w Przemyślu, położył ks. biskup Puzyna niespożyte zasługi około wychowania tamtejszego kleru i przyczynił się do ugruntowania zaszczytnej o tamtejszem duchowieństwie opinii. Tego samego ducha wszczepiał później w wychowańców seminaryum lwowskiego, łącząc jako sufragan urząd regensa z godnością biskupa. Trudniejsze tu zastał warunki. W całej w nich pełni okazała się jego siła przekonań i moc charakteru. Znane są jego pełne wytrwałości zabiegi około utrzymania na Rusi znaczenia duchowieństwa łacińskiego, około przychodzenia w pomoc ludności polskiej, zbyt rzadko wśród Rusinów rozsianej i od swoich parafii łacińskich nadto wielkiemi nieraz przestrzeniami oddzielonej. Świadkami tej działalności są mury kilkudziesięciu nowych łacińskich kościołów, wzniesionych na równinach Podola, jako strażnice, broniące od wynarodowienia, a może i od groźniejszej jeszcze propagandy....

Jaką wreszcie troskliwością, z ofiarą czasu, mienia i własnej osoby, ks. biskup-sufragan otoczył życie katolickie, jego objawy i kwiaty: zakony, bractwa, stowarzyszenia i dzieła miłosierdzia chrześciańskiego — to choć może mniej głośne, niemniej złotemi głoskami zapisane w księdze, w której Bóg zapisuje zasługi sług swoich."

Austrya. Wiedeń. W parlamencie wiedeńskim zostały wystosowane do JE. p. ministra wyznań i oświaty dr. Madeyskiego przez dr. Wiktora Fuchsa i towarzyszów dwie interpelacye, które specyalnie obchodzą duchowieństwo parafialne i dla tego podajemy je w dosłownem brzmieniu:

Pierwsza z nich brzmi:

„Na 63 posiedzeniu IX. sesyi dnia 5. listopada 1891 r. uchwaliła Wysoka Izba następującą rezolucyę:

„Wzywa się c. k. rząd, aby jak najwcześniej, porozumiawszy się z austryackim episkopatem w sprawie zniesienia ustawy z dn. 7. maja 1874 (R. G. Bl. nr. 51) wniósł przedłożenie rządowe, na mocy którego dodatki do funduszu religijnego, celem pokrycia potrzeb katolickiego wyznania, obliczane będą według c z y s t e g o d o c h o d u probostw i zakonnych zgromadzeń."

„Zważywszy, że od czasu uchwalenia tejże rezolucyi upłynęło więcej niż trzy lata; zważywszy dalej, że Wysokiej Izbie dotąd nie został przedłożony projekt rządowy, w myśl powyższej rezolucyi, pozwalają sobie niżej podpisani wystosować do JE. p. Ministra wyznań i oświaty zapytanie:

„W jakiem stadyum powyższa sprawa się znajduje i czy pan minister może niebawem Wysokiej Izbie odpowiedni projekt przedłożyć; w przeciwnym zaś razie: co stoi na przeszkodzie przedłożeniu tegoż projektu?"

Wiedeń, 12. listopada 1894.

Dr. Wiktor v. Fuchs, Vošniak, dr. Chotkowski, Oberndorfer, Wodzicki, Piniński, Ruczka, Włodek, Zaleski, Henzel, Hompesch, Potoczek, dr. Milewski, Klucki, Herk, Peitler, dr. Schorn, Klun, Povše, dr. Ebenhoch, Pastor, Treuinfels, Gasser, Morsey, dr. Kathrein, dr. Kopyciński, Globočnik, Wenger, Dipauli, Zehetmayr, Plass, Rammer, Rogl, Baumgartner, Hagenhofer, Dohlhammer.

Druga interpelacya, tegoż dnia do p. ministra Madeyskiego wystosowana, brzmi jak następuje:

„Ustawą z dnia 19. kwietnia 1885 (R. G. Bl. nr. 47. ustawa kongrualna) powzięte zostały, jak wiadomo, tylko prowizoryczne postanowienia względem dotacyi katolickiego duchowieństwa parafialnego. Od czasu dziewięcioletniego istnienia tej ustawy wykazały się różne niejasności i surowości, które dawały bardzo często powód do wnoszenia zażaleń do c. k. trybunału administracyjnego i c. k. trybunału państwa, a przez to spowodowały wielostronne pragnienie zmiany tejże ustawy. Z powodu tego poruszano kilkakrotnie, tak ze strony najprzewielebniejszego episkopatu, jako i duchowieństwa potrzebę zmiany i jasnego sformułowania niektórych rozporządzeń tejże ustawy i udawano się do c. k. rządu o przedłożenie nowego projektu ustawy. Z tego powodu pozwalają sobie niżej podpisani stawić pytanie:

„Czy Wasza Ekscelencya ma zamiar przedłożyć Wysokiej Izbie projekt nowej ustawy o dotacyi katolickiego duchowieństwa parafialnego i kiedy się można tego przedłożenia spodziewać?"

Wiedeń, 12. listopada 1894.

Dr. Wiktor v. Fuchs, Hompesch, dr. Chotkowski, Włodek, Łoś, Kopyciński, Potoczek, Henzel, Piniński, dr. Milewski, Chrzanowski, Klucki, Herk, Peitler, dr. Schorn, Klun, Dipauli, Povše, Pastor, Globočnik, Vošniak, Gasser, Morsey, dr. Kathrein, dr. Ebenhoch, Hagenhofer, Wenger, Zehetmeyer, Plass, Rammer, Rogl, Baumgartner, Doblhamer, Oberndorfer, Jędrzejowicz, Wodzicki, Ruczka, Zaleski.

Na obie te interpelacye nie nastąpiła jeszcze odpowiedź ze strony JE. p. ministra Madeyskiego, ale spodziewać się godzi, że niebawem nastąpi.

Niemcy. *(Kongres socyalnych demokratów. — Zebranie prezesów katolickich stowarzyszeń robotniczych).*

Partya socyalno-demokratyczna w Niemczech urządziła sobie zjazd doroczny w Frankfurcie nad M. Socyalna demokracya, jak wiadomo, stara się utrzymać łączność we wszystkich krajach ziemi i pominąwszy warunki lokalne, które wywołują pewne zmiany w taktyce lub w programie, ma wiele wspólnych dążeń, wiele wspólnych cech charakterystycznych tak pod chłodnem słońcem Niemiec Północnych, jak i w gorących okolicach Neapolu. Hasła więc, które padły w Frankfurcie n. M. nie mają czysto lokalnego znaczenia: prędzej czy później usłyszymy je u nas, gdy przeszedłszy przez alembik wiedeńskiego kierownictwa partyi zabrzmią we Lwowie i Krakowie a stąd dalej popłyną do miast prowincyonalnych. Warto je zatem poznać wcześniej i przygotować się na to, co niebawem usłyszymy na zgromadzeniach socyalistycznych a co agitatorowie partyjni poniosą między lud robotniczy.

Ze zjazdu frankfurckiego dwie przedewszystkiem wyjmujemy interesujące kwestye. Gorąco tam działo się pierwszego dnia, gdy stanęła na porządku dziennym sprawa płac redaktorów i funkcyonaryuszy partyi. Towarzysze od kielni i młota stanęli w niedwuznacznej sprzeczności z towarzyszami od pióra, dali im poznać swe niezadowolenie, swą nieufność i wręcz objawili pewne lekceważenie pracy duchowej, co tem było dziwniejszem, że właśnie socyalni demokraci prawią zawsze o błogich skutkach nauki. Główny wódz socyalnych demokratów, Bebel, wobec wycieczek przeciw wygórowanym płacom redaktorów i funkcyonaryuszy musiał podnieść, że pracę umysłową należy wyżej cenić i lepiej opłacać, niż pracę rąk, albowiem socyaliści żyją w społeczeństwie burżoazyjnem i z konieczności muszą w tym względzie stosować się do jego przyzwyczajeń. Argumentacya ta nie mogła trafić do przekonania towarzyszy, którym trudno było pojąć, dlaczego właśnie w tym kierunku mają czynić wyjątek z absolutnej równości na korzyść panów przywódców i przyznawać im stanowisko uprzywilejowane — ale okazała właśnie, jak kruchemi są teorye socyalistyczne, skoro chodzi o ich przeprowadzenie w praktyce i że pierwsi wyłamują się z pod nich właśnie panowie przywódcy, gdy idzie o ich korzyść.

Drugą interesującą sprawą była kwestya proletaryatu wiejskiego. Wbrew zdaniu, które dawniej tak w Niemczech jak i u nas brało górę, że robotnicy wiejscy jako żywioł bądź co bądź posiadający, konserwatywny i za mało ruchliwy nie stanowią podatnego materyału dla agitacyi partyjnych, dały się słyszeć głosy, domagające się rozwinięcia agitacyi między ludem wiejskim, celem wciągnięcia go w sferę wpływów socyalistycznych. Delegowani Schönlank i Vollmar przedłożyli w tej mierze szczegółowo opracowaną rezolucyę a Vollmar zaznaczył, że dotychczasowe niepowodzenie wśród ludu wiejskiego przypisać należy fałszywej taktyce agitatorów, którzy przemawiali z wysoka i nie umieli wzbudzić zaufania. Chłop przedewszystkiem nie dowierza obcemu; nie jest

on głupi, lecz politycznie niewykształcony. Zarzucić więc należy dotychczasowy system agitacyjny i zbliżyć się do chłopa, ale na jego gruncie, zapominając o rzekomej wyższości mieszczanina. Trzeba liczyć się z uporem chłopa, który, skoro zmiarkuje, że go się czegoś chce nauczyć, już z tego tylko powodu będzie się z całych sił opierał.

Dalej nie należy tykać religii, trzeba z całą konsekwencyą przeprowadzić zasadę, że religia jest rzeczą prywatną, ale nie zapominać, że religia a Kościół i księża, to całkiem co innego.

To ostatnie zdanie odsłania nam taktykę partyi socyalnodemokratycznej. Nigdzie jeszcze tak wyraźnie nie powiedzieli socyaliści, w jaki sposób zwalczać chcą ów najniebezpieczniejszy szkopuł, jakim jest dla nich religia. Uderzyć w nią samą, to rzecz niebezpieczna, nie wiodąca do celu, nawet wprost szkodliwa, bo społeczeństwo europejskie, zanadto jeszcze religijne, nie da sobie odebrać religii i zwróci się przeciw tym, którzy na nią nastają. Ale milcząc o religii, uderzać na praktyki religijne, napadać na jej przedstawicieli, duchownych, szydzić z obrzędów — oto droga, która prowadzi do celu, której jeden przyklaśnie z lekkomyślności, inny z fałszywego wstydu, inny wreszcie z nierozumu. To środek, który powoli, ale pewnie prowadzi do celu. Skoro więc socyalna demokracya otwarcie przyznaje się do tego systemu, caveant consules![1])

— We wrześniu odbyło się w Kolonii zgromadzenie prezesów katolickich stowarzyszeń robotniczych w Niemczech. Organizacya tych stowarzyszeń datuje się od r. 1887, kiedyto w Kolonii pod auspicyami władzy duchownej zawiązał się komitet dyecezyalny dla popierania interesów katolickich robotników. Komitet zredagował statut wzorowy dla stowarzyszeń katolickich robotników i ułożył wskazówki do zakładania takich stowarzyszeń i ukształtowania wzajemnego ich stosunku do siebie. Rozpoczęto także wydawanie fachowego czasopisma. Komitet dyecezyalny dał impuls do zawiązania komitetu centralnego dla całych Niemiec i do zwoływania zgromadzeń związkowych. Tegoroczne zebranie zajmowało się przedewszystkiem sprawą zwołania kongresu katolickich robotników, wyraziło jednak na razie tylko życzenie, aby urządzano zgromadzenia dyecezyalne, poczem w miarę ich powodzenia nastąpi decyzya o zwołaniu kongresu. Głównym przedmiotem rozpraw była dalej kwestya oddziałów zawodowych w katolickich stowarzyszeniach robotniczych. Z uwagi, że organizacye zawodowe są przeważnie w rękach socyalistów lub liberałów, postanowiono tworzyć oddziały zawodowe w stowarzyszeniach katolickich a to celem skutecznego popierania interesów robotników pewnych zawodów, którzy nie mogą i nie chcą opierać się o owe organizacye socyalistyczne lub liberalne. Dla takich oddziałów zawodowych wypracowano zupełnie szczegółowy program. W końcu obradowano nad sprawą zakładania kas uzupełniających przy istniejących kasach chorych. Początek w tej mierze mają na próbę dać zarządy kas chorych w prowincyach nad dolnym Renem.

Francya. *(Katolicki uniwersytet w Paryżu. — Francuzi a nowy kanclerz niemiecki).*

Francuska ustawa szkolna z r. 1875, która umożliwia zakładanie wolnych instytutów naukowych, począwszy od szkoły elementarnej aż do uniwersytetu, podała biskupom francuskim sposobność założyć pięć wolnych uniwersytetów, z których uniwersytety w Lille i w Paryżu, jako zupełne, mają największe znaczenie. Ważność takich wolnych uniwersytetów ocenić łatwo, biorąc za miarę rezultaty, które osiągnął uniwersytet paryski. Jak Mnsgr. Hulst podaje w *Monde*, ukończyło ten uniwersytet od czasu jego założenia 337 licencyatów filologii (ès-lettres), 141 licencyatów innych działów nauk-filozoficznych, 19 agregowanych i 16 doktorów, razem 513 osób, posiadających stopnie akademickie a to pomimo, że uniwersytet katolicki nie posiada prawa przyznawania tych stopni i że jego wychowańcy składać muszą wszystkie egzaminy w uniwersytetach państwowych. Przeważna część owych 513 zajmuje posady nauczycieli w szkołach wolnych lub w małych seminaryach. Oprócz tego ukończyło uniwersytet 630 licencyatów i 65 doktorów prawa, 316 bakałarzy, 67 licencyatów i 2 doktorów teologii, 182 bakałarzy, 79 licencyatów i 2 doktorów prawa kanonicznego, tudzież 50 bakałarzy filozofii. Ilość słuchaczów wynosi obecnie 450; z tego 30 na wydziale teologicznym, 270 na prawniczym a 150 na filozoficznym. Pomiędzy wszystkiemi wyższemi szkołami we Francyi zajmuje paryski uniwersytet katolicki miejsce trzecie lub czwarte.

— Ciekawym jest zaiste punkt widzenia, z którego Francuzi zapatrują się na nominacyą ks. Hohenlohego kanclerzem państwa niemieckiego. Rzymski korespondent *Monde'a* pomieszcza w tej mierze obszerny artykuł, który ma być niby echem z Watykanu a jest w istocie tworem fantazyi i wyrazem uczuć Francuza. Opisawszy przeszłość polityczną ks. Hohenlohego, dochodzi do przekonania, że nowy kanclerz, chociaż katolik i brat kardynała, był najścislejszym socyuszem Bismarka w czasach „kulturkampfu“ i że dziś, — gdy ta walka inne przybrała formy, — ma być właśnie ze względu na owe stosunki osobiste, jako mąż pojednawczy, narzędziem trójprzymierza przeciw papiestwu a raczej przeciw francuskiej polityce Ojca św. Ma on zdziałać to, czego dotychczasowa polityka trzech sprzymierzonych mocarstw, pomimo pozornej sympatyi dla Papiestwa i katolicyzmu, nie zdołała osiągnąć: ma oderwać Rzym od Francyi a usposobić go przychylnie dla Austryi, Niemiec i Włoch, wreszcie ma przygotować i natchnąć przyszłe conclave. „To nie wnioski, to fakta“ — kończy korespondent — ostrzegając Rzym i Francyą przed grożącem im niebezpieczeństwem.

Jeżeli nie możemy się zgodzić z tem, że tak powiemy, oryginalnem zapatrywaniem Francuza, nie idzie za tem, abyśmy faktowi nominacyi ks. Hohenlohego przypisywali dodatnie jakieś znaczenie dla sprawy katolickiej. Przeszłość ks. Hohenlohego, jego działalność jako ministra bawarskiego, jego stosunki z Döllingerem w czasie soboru watykańskiego nie pozwalają go posądzać o sprzyjanie katolikom, choć katolikiem się nazywa i bratem jest kardynała. Gdyby było inaczej, nie byłby go cesarz niemiecki mianował kanclerzem.

W sprawie sztuki kościelnej. *Vaterland* z 16. z. m. podaje wiadomość z Monachium, że „Stowarzyszenie miłośników sztuki chrześciańskiej“, zawiązane na Moguncklm wiecu katolickim w r. 1892, a liczące obecnie do 700 członków, uchwaliło na ostatniem zebraniu, by podczas wiecu katolickiego, który w roku następnym ma się zebrać w Monachium, urządzić wystawę religijnej sztuki. My patrząc na tak liczny zastęp artystów w Polsce i na znakomite ich dzieła, które, względnie, znajdują nadzwyczaj mało u nas nabywców, pytamy się nieraz, dla czego, oprócz jednego chyba Krudowskiego, nie ma u nas zupełnie malarzy i rzeźbiarzy religijnych? I dla czego my księża po obrazy i rzeźby do kościołów, które są ciągle potrzebne i żądane, nie do naszych znanych i głośnych artystów, ale zawsze dotąd albo do małomiasteczkowych rzemieślników, albo do zagranicznych „fabryk“ artystycznych udawać się musimy? Czy przyjdziemy kiedy do tego, żeby urządzić u nas wystawę „polskiej“ sztuki kościelnej?

Wiadomości dyecezyalne.

Archidyecezya lwowska obr. łać.

Przeniesieni księża wikar.: Anklewicz Jakób na ekspozyturę w Delejowie (paraf. Maryampolskiej); Seńków Edward do Grzymałowa, Pawłowski Antoni do Baworowa, Sołtys Wojciech do Buszcza.

Aplikowany w charakterze kooperatora przy parafii w Rawie ruskiej O. Binek Stan. zakonu OO. Reformatów.

Rekolekcye dla kapłanów w Czerniowcach odbędą się w rezydencyi OO. Jezuitów od 26. wieczorem do 30. b. m. O. superyor Eberhard uprasza, by kapłani, którzy zechcą wziąść udział w tych rekolekcyach, raczyli go wcześnie uwiadomić o zamiarze przybycia.

---

[1]) Pozwalamy sobie w tej mierze przypomnieć czytelnikom ustęp z artykułu: Socyalizm w Galicyi, w numerze 19. *Gazety* na str. 195.

Własność Towarzystwa Wzajemnej Pomocy Kapłanów.
WYDAWCA I REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY: **ks. Z. Lenkiewicz.** Z Drukarni W. Łozińskiego.